№ 49. Warszawa, dnia 23 Listopada (5 Grudnia) 1885 roku.




Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.



## OD REDAKCYI.

W przyszłym roku **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

**Kwartalnie. . . rs. 2 kop. 50**
**Półrocznie . . . rs. 5**
**Rocznie. . . . . rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

**Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25**
**Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50**
**Rocznie . . . . . rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 10, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

## Kobieta w poezyi polskiej.

Nie tak dawno jeszcze, kto chciał mieć rozłożone w salonie pięknie wydane i ozdobnie oprawne książki, musiał uciekać się do wydawnictw zagranicznych; obecnie dzięki zasłużonej firmie pp. Gebethnera i Wolffa, mamy wydawnictwa własne, mogące zadowolnić największe wymagania. Taka „Stara baśń", „Pamiętniki kwestarza", „Marya" Malczewskiego, „Kwiaty rodzinne" wybór poezyi polskich, ułożony przez Narcyzę Żmichowską, mogą wytrzymać porównanie z najpiękniejszemi wydawnictwami francuzkiemi, a nawet angielskiemi. Do ich liczby przybywa książka świeżo wydana przez tęż firmę: „Kobiety w poezyi polskiej", ułożona przez p. Władysława Bełzę.

Czy pomysł tego wydawnictwa powzięli wydawcy czy p. Bełza, nie wiemy, przyznać przecież musimy, że jest bardzo szczęśliwy i w ogóle dobrze wykonany, gdyż przedstawia Czytelnikom sądy o kobiecie wszystkich niemal poetów polskich, tak dawniejszych jak nowoczesnych.

Dawniejsi, zgodnie z wyobrażeniami swego czasu, opiewali tylko cnoty zacnych żon i matek, lub urocze, niewinne dziewczęta, nie wdając się w opisywanie uczuć i namiętności, jakie kobieta budzić i odczuwać może, nie nazywając jej aniołem, lub szatanem, odnośnie do wrażeń jakie na nich wywierała. Dopiero rozwój zagranicznej romantycznej poezyi, oddziałał i na naszych pieśniarzy. Już Karpiński opisuje głównie miłosne swoje uczucia, widząc w kobiecie nietylko matkę i żonę, ale także kochankę. Jego śladem postępują inni, ale rzeczywiste królowanie kobiety jako kochanki, bóstwa, anioła, rozpoczyna się dopiero od epoki Mickiewicza. Jego dopiero poemata i sonety dały poznać ogółowi poezyą romantyczną, której tłem i główną treścią, kobieta i miłość, i pomimo zawziętej krytyki klasyków, zyskały odrazu ogólny poklask i uwielbienie. Genialny nasz wieszcz po raz pierwszy w poezyi polskiej tak cudnie przedstawił miłość Aldony i Alfa w „Wallenrodzie", miłość dla swej ubóstwianej Maryli w „Dziadach", w sonetach, a później dziewiczą miłość Zosi w „Panu Tadeuszu" i z tego też poematu p. Bełza obszer-

ny zamieścił wyjątek. Szkoda, że pominął „Grażynę"? W „Kobietach w poezyi polskiej" koniecznie powinna była znaleźć miejsce nietylko kochanka, ale jak powiedział poeta „Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha", a wszak takich nam nie brakło? Wymieniamy tylko Chrzanowską Zofię i jej obronę Trembowli i ową mężną niewiastę, która ofiarą własnego życia obudziła męztwo wojsk króla Stefana: dzieje nie przechowały jej nazwiska, ale Niemcewicz podaje wymówione przez nią słowa:

„I mnież-to, rzecze, mnie słabej kobiecie,
Wspominać co stara cnota!
Że was kajdany czekają, nie wiecie... i t. d.

Dla uniknienia jednostajności, należało także zamieścić ów ustęp z „Dziadów":

„Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!..."

Boć od najdawniejszych czasów nietylko poeci, ale wierszokleci i zwyczajni śmiertelnicy, jedni uwielbiali, inni łajali i przeklinali kobietę; znane są powszechnie owe starodawne wiersze:

„Rozpłataj me serce na pieńku toporem,
Jeźli nie goreje miłości fosforem;
A paniś okrutna, srodze bałamutna,
Prędzejby się skały, ubłagać dały:
A pfe! mościa pani, być taką!..."

Po poezyach Mickiewicza, już utarte pole miał Malczewski i jego „Marya" za ukazaniem się wielkie zyskała powodzenie; wszystkie czytające kobiety i młodzież umieli na pamięć prześliczny ustęp:

„Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły..."

Ustęp ten wybrał p. B. jako malujący miłość kobiety. Trafnie także zestawił obok siebie utwory dwóch znakomitych poetek, malujących miłość kobiety: ustęp z „Poganki" Narcyzy Żmichowskiej i „Do kobiety" p. Konopnickiej.

Któż nie zna prześlicznego wiersza Narcyzy:

„Raz mi mówiono, że są tu na ziemi,
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata,
Ponad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione,
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.
A jam się pytał: gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała;
I rzekła tylko: Tam, synku maleńki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.
O! prawdę, prawdę matka powiedziała,
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I spokój serca i myśli tam w niebie,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie.

Miłość kobiety, to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie;
Miłość kobiety, to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na tej ziemi wita;
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Którą niemowlę w głodne usta chwyta.

. . . . . . . . . . . .

Miłość kobiety, to ręka podana
W chwili złych myśli i pokus szatana,
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy,
Chęci szalone, żądze niespokojne,
I namiętności nasiona zdradliwe...
I pierwej nim się w truciznę rozplenią,
Nim święty serca skalają przybytek,
Pierwej chryzmatem uczucia święcone,
W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione.

. . . . . . . . . . . .

I przed zgryzotą ona cię osłoni,
Własnego serca boleścią i łzami,
I przed występkiem ona cię obroni,
Świętością swoją i swemi prośbami;
Ty za nią idąc, złe drogi porzucisz,
Ty za nią idąc, znów do nieba wrócisz!...

Tuż za tym, zamieszczony najpiękniejszy z utworów p. Konopnickiej „Do kobiety":

„Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona, co znaczy kochać?

* * *

„...Kocham ciebie" to znaczy: chcę z tobą
Podźwignąć ciężar co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą,
I nieść ci pokój i ciszę i zdrowie.

„Kocham" to znaczy: twoje ideały,
I cele twoje są także mojemi;
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały,
Prędzej rozbłysnął na ziemi.

Chcę, by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem, były twe pragnienia,
Chcę byś był głosem mojego sumienia,
I wiódł mnie z sobą, do Boga.

Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym,
Gwiaździste szlaki przyszłości.

Chcę przez twą wiedzę umysł mój rozszerzyć,
I słowo twoje chować jak przysięgę;
Chcę z tobą marzyć i tęsknić i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę.

„Kocham" to znaczy: chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści;
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić
I tarczą być twojej cześci.

„Kocham" to znaczy: chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską, naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.

. . . . . . . . . . .

„Kocham" to znaczy: ja chcę być dla ciebie,
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.

Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną;
Chcę być twą myślą i ramieniem twojem,
I przyjacielem i żoną...

Obie poetki ślicznie określają miłość kobiety, a jednak jakże wielka zachodzi różnica w zasadzie. Żmichowska przedstawia miłość kobiety jako podnietę zdolną popchnąć mężczyznę do najwznioślejszych czynów, uchronić od pokus i złego; p. Konopnicka przedstawia ją jako potęgę, mogącą podnieść kobietę na najwyższe szczyty, w których króluje mężczyzna.

W trzecim z kolei wierszu „Do sióstr moich", utalentowana poetka, p. Ilnicka, maluje nie już miłość kochanki, żony, ale miłość matki chrześcianki, a maluje rzewnie i wdzięcznie jak wszystkie poezye jej pióra. Opromieniona namaszczeniem miłości:

„Niewiasta polska stoi w przybytku domowym;
To nie westalka Rzymu biało przysłoniona,
Nie Druida pogańska w wieńcu swym dębowym...
Płomień tego ołtarza, który strzeże ona,
Stokroć świętszym i czystym promieniem jaśnieje:
To matka chrześcianka! Mlekiem swego łona
Karmi, a żywem ciepłem piersi swojej grzeje
Dzieciątko złotowłose, jak aniołek Boży;
Tylko zda się skrzydełek do ramion mu trzeba,
Tylko rąbka obłoków i promyka zorzy,
A uśmiechnie się ziemi i wzleci do nieba.
Lecz nie, aniołek do niej wyciąga rączęta,
Różowe swe usteczka do ust jej przytula,
Pierś jej drży, zbytkiem szczęścia niemal uciśnięta,
Chce się zaśmiać a płacze i śpiewa i lula...

. . . . . . . . . . . .

Ona będzie noc całą klęczeć pochylona,
Noc całą patrzeć cicho w uśpione swe dziecię,
A kiedy pierwszym zorzy blaskiem zapłoniona,
Ku niebu wzrok w pobożnym podniesie zachwycie:
Siostry moje, pytajcie czy ona szczęśliwa?
Czy żądza innej doli w myślach jej zagości?
Przeszłość z przyszłością w święte spajając ogniwa,
Ona skarb swego szczęścia złożyła w miłości...
I chociaż może nieraz na tej życia drodze,
Gorzkiej żółci z ziemskiego zaczerpnie kielicha;
Choć nieraz może z oczu łza popłynie cicha,
A miecz boleści serce jej przeszyje srodze;
Ona jeszcze spełnionym uwieńczona celem,
Ku niebu za aniołem patrząc tajemniczym,
Czuć się będzie szczęśliwą tem świętem weselem,
Co nad Maryi schylonem połyska obliczem...

Wymienić jeszcze trzeba piękny, mało znany wiersz Władysława Ordona „Stara panna" pięknie określający życie kobiety pełne poświęcenia i zupełnego zaparcia siebie, żyjącej tylko w drugich i dla drugich.

Rzecz prosta, że w jednym tomie, choć bardzo obszernym (383 str.), niepodobna było pomieścić wszystkich, choćby celniejszych tylko, utworów poetów polskich o kobiecie, ale wybór i układ jest w ogóle staranny a wydanie bardzo piękne. Druk wykwintny, każda stronica ozdobiona różową winietą, papier welinowy doskonale satynowany, brzegi złocone, oprawa bardzo ozdobna, rysunki Andriolego. Wydawcy nie szczędzili kosztu, aby „Kobiety w poezyi polskiej" mogły zająć miejsce w najwykwintniejszym salonie i stanowić śliczny podarek na gwiazdkę; to też śmiało możemy piękną tę książkę polecić Czytelniczkom Tygodnika.

*J. B.*

# PRZEZ CIERNIE I GŁOGI.

OPOWIEDZIAŁ

Z. Grabowski.

Natura, jak świątynia — a na każdym kresie,
Miły bóstwu serca śpiew.

*Gosławski. Renegat.*

## I.

Podczas długoletniego pobytu we Francyi, otrzymywałem co tydzień niemal listy z kraju. Opuszczając rodzinne kąty, zostawiałem w nich wszystko moje: matkę i narzeczoną. Dziś, po tylu latach, zdaje mi się, że to był tylko sen, sen uroczy, z którego mnie zawistne zbudziły losy, zawcześnie.

Matka, jak zwykle matka, w przywiązaniu swem dla syna dotrwała wiernie aż do końca; narzeczona moja, poprzednio już, o ile pomnę, we dwa lata po wyjeździe moim z kraju, pocieszyła się zupełnie.

Ale to wszystko należy do przeszłości i sam nie wiem dlaczego was takiemi zwykłostkami potocznego żywota nudzę teraz.

Otóż, w roku 186*, właśnie kończyłem czytanie listu tej co miała, według własnego jej wyznania, kroczyć ze mną przebojem w życiu i dzielić złe i dobre losy, gdy przyniesiono mi jeszcze jeden list z Warszawy... od matki.

Zaniepokoiło mnie to bardzo, gdyż poprzedniego dnia miałem od niej pismo i skarżyła się trochę. Biedna, zapadała już na zdrowiu.

Rozerwałem okrywkę i oto co przeczytałem:

„Kochany Zygmuncie!

„Wiesz, że pogoda czy słota; lato czy zima, t. j. bez względu na porę roku, słucham śpiewanej Mszy u Karmelitów na Lesznie. Raz, że to kościół pod wieloma względami dla nas pamiątkowy, a powtóre, że mi z Solnej ulicy doń najbliżej. Msza odbywa się przy odsłoniętym obrazie Matki Najświętszej, podczas tej Mszy modlę się za ciebie, mój Zygmuncie.

„Od pewnego czasu uważałam tam kobietę już dość wiekową, odzianą skromnie lecz czysto; uważałam ją z powodu, że zawsze tak jak ja modliła się gorąco. Cierpienie rozlane na jej bladem, znękanem licu, było przecie i jest na mojej także twarzy; przeczuwałam, że serce jej tak jak moje jest rozbite, oby tylko dał Bóg, nie na zawsze.

„Raz tedy, wczoraj, postarałam się usiąść tuż przy niej. Była to niedziela, znalazłyśmy się na sumie i na kazaniu. Kazanie było piękne, mówił do tłumu ksiądz wykształcony, a widać było, iż mówił z serca. Przedmiotem nauki była... *ufność w Chrystusie.*

„Nie rozpaczajcie! — mówił kapłan. — On was pocieszy, jak przez Piotra pocieszył rodziców szalejących z bólu u łoża zmarłej Tabity. Dlaczegóż mielibyście wątpić, że zostaniecie wysłuchani? Czyż Ewangelia nie obiecuje wysłuchania każdej modlitwy pochodzącej z wiary? Czyż nie przytacza tysiąca przykładów ludzi, co się udali w biedzie swej do Pana i zostali wysłuchani?

„Podczas kazania, nieszczęśliwa moja sąsiadka miała utkwione oczy w obraz Matki bolejącej, drżała jak w febrze.

„Skutkiem tłumu ludzi, panowało dokoła nieznośne gorąco. Po kazaniu więc, wziąwszy za rękę nieopierającą się, choć trochę zdziwioną mym postępkiem kobietę, wyprowadziłam z kościoła.

„Nie chcę cię nudzić, kochany Zygmuncie, opisywaniem naszej rozmowy, opisywaniem wszystkiego co przeżyła ta nieszczęsna. Są boleści których poruszać niegodzi się, ciosy łamiące odrazu, jak grom, niespodzianie, a łamiące na zawsze.

„Niech ci wystarczy, synu, że ona także cierpi, a więcej niż ja. Możesz jej być pomocnym, a wierzę, iż dołożysz starań, aby te biedne oczy nie płakały więcej, aby córka jej, śliczne, potulne, dobre dziewczę, utrzymujące starą, schorzałą matkę, nie zabijała się pracą nad siły.

„One mają syna i brata daleko, podobno także we Francyi. Gdy ja jednak choć listownie mogę się nacieszyć tobą, one, nie wiedzą już od półtora roku co się z biedakiem dzieje. Przepadł bez wieści. Daremnie udawały się do konsula i nawet wprost do władz francuzkich, otrzymały zewsząd lakoniczne odpowiedzi: człowiek o podobnem nazwisku nie istnieje.

„Posyłam ci fotografię Jadwini, brat ma być do niej podobny; ma prócz tego znamię czarne, niewielkie na lewym policzku, w okolicy dolnej szczęki. Wzrost średni, lat dwadzieścia cztery; czarne oczy jak siostra i jasne jak ona włosy, głos miękki, dźwięczny, usposobienie bardzo gwałtowne, a le serce dobre, szlachetne.

„Przez miłość dla mnie, synu, odszukaj biedaka i powiedz mu... nie, zapytaj go: czy to się godzi zaniedbywać tych co go tak kochają? Ja wierzę, że to może nie z jego winy. Zresztą, załączam liścik od matki jego i od Jadwisi, jeżeli ci się uda odnaleźć go, wręcz mu zaraz.

„Ale, ale, nazywa się Leon Poleski.

„A ty, Zygmuncie, słuchaj rad moich: módl się, ucz, pracuj; nie ma życia bez walki.

Twoja matka."

Taki list otrzymałem z kraju.

Załączona fotografia p. Jadwigi, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Dziewczę, które pokochałem całą duszą, było śliczne, dobre, poczciwe; pisało mi przecie co dni kilka cudne, pełne ognia listy, w owym czasie miałem już około czterdziestu posłań od niej i wyraz „kocham" prawie ośmset razy powtórzony. Ale Jadwiga miała coś w oczach i w całej postaci, co, jak mówią poeci, chwytało odrazu za serce.

Ta skromna, czarna sukienka na dziewczynie i te włoski jasne, gładko zaczesane, podobały mi się niewymownie. Była oparta na ramieniu siedzącej w krześle, także czarno odzianej wiekowej kobiety. Obie patrzały wprost, przed siebie, trochę smutne; na twarzach obu kobiet widać było cierpienie.

Ale jakże tu wynaleźć owego pana Leona w dwu milionowym grodzie, śród kilkunastu tysięcy, jak w kalejdoskopie przesuwających się mieszkańców po ulicy?

Będąc człowiekiem pracy, unikałem gwaru i szumu, unikałem towarzystw, szczególniej nowych. Nie dlatego, abym lekceważył je, ale że składały się przeważnie z ludzi myślących jeszcze o niedawnych burzach, z ludzi sądzących namiętnie, nieraz niebacznie, na wiatr, z ludzi nareszcie żyjących gorączkowo. Ja miałem już wtedy wytknięty cel w życiu. Trzeba się było uczyć, pracować i walczyć o byt jeszcze; a nie dać się złamać niedoli, nie uledz podszeptom złego. Otaczali mnie Francuzi—ludzie; trzeba i mnie było jak najprędzej zostać człowiekiem. A czasu nigdy nie miałem zadużo.

Niemniej przeto postanowiłem zająć się odszukaniem Leona.

Mając jaki taki zasobik środków materyalnych, porobiłem ogłoszenia, zacząłem nawet wieczorną porą, odwiedzać kawiarnię, w której część mej braci, toczyła namiętne walki o zasady.

Trzy miesiące upłynęło na daremnem szukaniu, wywiadywaniu się o Leona; odpisałem tedy, że liczę już tylko na przypadek, na traf szczęśliwy, który mnie może zetknie w życiu z owym biedakiem.

Matka zawiadomiła mnie raz, że ciągle odwiedza wdowę Poleską i że dla ślicznej Jadwini wynalazła zajęcie więcej odpowiednie, panienki do towarzystwa. Dziewczę tedy niepotrzebowało już szyć nocami, a matka, miała przynajmniej byt zapewniony. Szlachetna córka oddawała jej wszystko prawie.

Fotografię i list zatrzymałem, licząc ciągle na ów szczęśliwy przypadek.

Czasy to w ogóle były niewesołe. I nad Francyą, wyprawa Meksykańska gromadziła burzę. Lud szemrał, nieprzyjaciele rządu Napoleona rozrzucali masami podżegające broszury i świstki satyryczne.

Wszystkie brudy cesarstwa wywłóczono z kątów na słońce, widmo rewolucyi przybierało coraz wyraźniejsze kształty. Jakkolwiek tedy rzucano tłumom w oczy złotem i olśniewano je przepychem, a Hausman burzył odwieczne cyrkuły paryzkie, jakkolwiek przygotowywano się zgromadzić świat cały na blizkiej wystawie i na bulwarach wielkiego grodu słychać było tylko radosne okrzyki i widać było same uśmiechnięte twarze, co noc szereg więziennych ambulansów wjeżdżał w obręb ponurych murów Mazasu, co miesiąc z Brestu, z Cherburga, z Marsylii i z Tulonu, wypływały statki z towarem żywym do Cayenny. Prefektura nie próżnowała.

Było to na małą skalę powtórzenie scen, po słynnym grudniowym zamachu stanu.

Mnie jednak mało te rzeczy obchodziły.

Nadeszła chwila w której spotkało mnie bardzo bolesne rozczarowanie, o którem już wspomniałem na początku tego obrazka, unikałem więc towarzystw i bulwarów więcej niż poprzednio, a rzuciłem się natomiast gorączkowo do pracy.

Regularnie co miesiąc odbierałem niewielki zasiłek od krewnych z Galicyi, w przekazie bankierskim ze Lwowa na bank niejakiego de Courcy; co miesiąc też, z zegarkową punktualnością, zjawiałem się w kasie i odbierałem moje 200 fr. w złocie.

Raz, sam bankier wypłacił mi i nie wiem dlaczego, wdał się ze mną w pogawędkę.

— Pan z Galicyi jesteś? — spytał mnie po kilku chwilach potocznej rozmowy.

— Nie, panie: z Warszawy.

— Ah!... z Warszawy!

Wycedził to z pewnym naciskiem.

— Warszawa, to ładne podobno, ale nie duże miasto.

— Nie jest wielkiem miastem — odrzekłem — ale zawsze przeszło 400,000 ma mieszkańców.

— No, proszę! nie sądziłbym. A czy?...

Pomyślał chwilę i potem:

— Pan jesteś stałym u nas klientem, panie G., już przeszło dwa lata, jak ci twoją pensyę wypłacamy.

— Tak, panie.

— A czy wolno zapytać pana o rodzaj zajęcia?

— Owszem. Słucham wykładów w Sorbonie, jako wolny słuchacz.

— I poświęcasz się pan zawodowi...

— Literackiemu.

— Władasz zapewne kilkoma językami, angielskim, włoskim, a może i... niemieckim.

— Niemieckim zupełnie poprawnie.

Rozmowa urwała się, p. de Courcy widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, lecz nie śmiał może na razie.

W następnym miesiącu, znów znalazłem go samego za kasą.

— Mam pana prosić o wielką łaskę! — rzekł uprzejmie.

— Do usług pańskich.

— Od pewnego czasu, zapewne skutkiem zbliżającej się wystawy, zarzucają mnie obcą korespondencyą, a rzecz szczególna, nietylko w niemieckim ale i w rossyjskim języku odbieram listy, dwa przytem po polsku. Nie zliczyłbym zaś pism z Serbii i z Bulgaryi. Są to, jak się domyślam, prośby o objaśnienia i t. p. Dlaczego jednak do mnie się z tem zwracają, nie wiem istotnie.

— Życzysz więc pan zapewne, abym mu je przełożył na język francuzki?

— Tak, trochę! — odparł bankier. — Ośmieliłem się zasięgnąć o panu wiadomości wprost od mego korespondenta ze Lwowa, i jeżeli pan masz na zbyciu kilka godzin popołudniowych...

— Owszem, panie, ale dopiero po obiedzie t. j. po 7 wieczorem.

— Tak ze dwie godziny.

— I trzy nawet.

Podał mi rękę i dnia następnego byłem już korespondentem banku de Courcy et C-ie, ze stałą pensyą miesięcznie.

Dla mnie, było to dobrodziejstwo istotne, za dwie godziny bowiem spędzane w gabinecie bankiera, płacono mi luidora.

Po dwóch tygodniach, właśnie gdy kończyłem, około dziewiątej, moją robotę, wszedł p. de Courcy i zaprosił mnie na herbatę.

Był to zaszczyt niespodziewany, któregoby mi niejeden z urzędników jego biura pozazdrościł z pewnością.

Pan de Courcy, ostatni przedstawiciel dość słynnej i zasłużonej krajowi normandzkiej rodziny, po śmierci ojca znalazł się ze świetnem imieniem i hrabiowskim tytułem, zupełnie prawie bez grosza. Był młody i przystojny; umiał się bić na szpady i jeździł konno znakomicie, grał we wszystkie możliwe gry z tym rodzajem obojętności cechującej francuzką arystokracyę; prócz tego, w sercowych turniejach, trafiał zawsze w czerwiennego asa. Wszystkie te jednak piękne notatki nie przeszkodziły, iż po roku już znalazł się literalnie na bruku. Poznanie przypadkowe z jedynaczką bankiera Planet, postawiło go znów na nogi. Bogacz ofiarował mu córkę, z warunkiem jednakże, iż wstąpi do jego bióra, obejmie z czasem kierunek spraw i zapomni, że z rodu i tytułu należy do tych, co przejadają gotowe pieniądze i zacznie pracować. Nie było rady, gdyż najstraszniejszy wróg ludzi nienauczonych myśléć o sobie, głód, był jak to mówią u progu.

Gdy poznałem pana de Courcy, nie było już w nim nic z owych nieznośnych nawyczek wielkich panów: lekceważenia wszystkiego co *de* nie może dodać do swego nazwiska. W nowem otoczeniu, przy pracy i pod wpływem żony, którą kochał namiętnie, został człowiekiem w całem tego słowa znaczeniu. Pozbył się wad swej rasy, a zachował tylko jej cnoty tradycyjne.

Miał jedną tylko córkę, młodziutką córkę na wydaniu.

Gdy weszliśmy z moim gospodarzem do gustownie urządzonego salonu, zastaliśmy matkę i córkę zajęte robótkami, synek był zupełnie powierzony jakiejś wychowawczej instytucyi.

Panie przyjęły mnie bardzo uprzejmie; z tą serdecznością cechującą francuzki, gdy chcą przypodobać się. Matka była kobietą lat średnich, nosiła na licu ślady niezwykłej piękności i mimo swego mieszczańskiego pochodzenia, czyniła honory domu z wdziękiem i godnością. Gdy uniewinniałem się, że łamię etykietę i przedstawiam się o podobnej porze, prosiła abym odtąd niezważał już na te krępujące szczerość względy towarzyskie a uważał ich dom, jako dom życzliwych sobie przyjaciół.

Szczęściem, że owego dnia składałem kilka wizyt, byłem więc w czarnej odzieży.

Panna Helena de Courcy, podczas całej tej rozmowy milczała, zapatrzona to w siatkę, której nie robiła, to we wnętrze kominowe, z powodu lata puste i ciemne zupełnie. Spostrzegłem, że mimo pięknej twarzyczki, była bardzo blada, że oczy jej duże, ciemno szafirowe, były obwiedzione siną obwódką, główka przechylała się co chwila, jakby jej ciężyła na pełnych, ślicznie zaokrąglonych ramionach.

Uważałem jeszcze, że siedziała w dużym, wygodnym fotelu i opierała dziecięce swe stopy na poduszce.

Oczy matki, choć ze mną mówiła, biegały ciągle po twarzy dziewczyny, z rodzajem jakiegoś niepokoju i współczucia.

Rozmowa nareszcie stała się ogólną, panna de Courcy jednak tylko czasami brała w niej udział i to wręcz, gdy była o co pytana.

Zaraz po dziesiątej wyszedłem, obiecując na szczere zaprosiny pani domu, być u nich za dni kilka.

Rzecz dziwna, że mimo uprzedzającej grzeczności bankiera i okazywanej mi życzliwości jego rodziny, czułem się u nich trochę nieswój. Zimny na pozór spokój pana de Courcy, jakiś bolesny uśmiech na twarzy jego żony i bladość i milczenie ciągłe prawie pięknej Heleny, krępowały mnie bardzo.

Byłem u nich jeszcze kilka razy, zastając zawsze kogoś z gości, lecz zawsze panowała w ich salonie cisza, wiał chłód jakiś, w którym tonął i niknął głos cichy i serdeczne słowa pani domu.

Raz tylko, na twarz córki bankiera, nieruchomą, jakby martwą, wywołałem ślady życia. Gdy zacząłem opowiadać coś o sobie i swych kątach rodzinnych i t. p., słuchała mnie z coraz większem zajęciem, na policzkach zarysowały się rumieńce, i ciemne oczy zwykle na pół bez wyrazu, nabrały blasku, ożywiły się zupełnie.

W salonie znajdowały się jeszcze dwie damy i jakiś rycerz cesarstwa z piersią pokrytą pruskiemi i austryackiemi orderami, wśród których dojrzałem gwiazdę krzyża legii honorowej.

Zaczęto mówić o muzyce i rycerz ów wspomniał o jakiejś damie, którą poznał w Wiedniu i która grała uroczo, lecz same nieznane melodye.

— Muzyka to i melodya zupełnie od naszej odmienne — ciągnął dalej — jest w nich jednak czar jakiś nieopisany. Pamiętam — zakończył — iż nieraz godzinami całemi słuchałem artystki, mimo bowiem świetnego imienia, była artystką w całem znaczeniu tego wyrazu.

Przyszła mi myśl szczególna.

W kącie obszernego salonu był fortepian. Otworzyłem go i uderzyłem kilka akordów. Właśnie przypomniał mi się jeden z mazurków Szopena.

Słuchano mnie chętnie, uszu mych dobiegły nawet szepty pochwalne, a dwoma jeszcze damami i kilkoma panami zwiększyło się towarzystwo.

Kiedyś, sam grałem nieźle a instrument był wyborny, koncertowy.

Powoli, przypomniało mi się kilka ludowych pieśni, że zaś grałem je nieraz w domu, wykonywając na tle pierwotnych tonów rodzaj fantazyi, i w salonie Courcych zrobiły pewne wrażenie.

Właśnie ostatnie akordy mięszały się z rosnącym gwarem rozmowy, gdy poczułem na mem ramieniu czyjąś rękę.

Przy mnie stała Helena, drżąca z zarumienionem obliczem:

— Ah, graj pan dalej, graj jeszcze... — szepnęła błagalnie prawie.

— Prawda, że to porywające?

— Znam to dobrze... on grał tak często i...

Urwała nagle, pomieszana, jakby wstydząc się nierozważnie wypowiedzianego zdania.

Podniosłem głowę i ujrzałem łzy w jej oczach. Chciałem coś rzecz, ale skinąwszy mi przyjaźnie główką, odeszła.

Zbliżenie się jej do fortepianu nie uszło uwagi ojca. Gdy znów utonęła w swym fotelu, podszedł do niej i pocałował ją w czoło. Zdaje się nawet że coś jej szepnął do ucha patrząc na mnie.

Niepojmowałem coby to wszystko miało znaczyć.

Po skończeniu, korzystając z ruchu w salonie, wywołanego przyniesieniem herbaty, oddaliłem się.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
# DO
# PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Zaiste odebrane wiadomości mogły zgnębić najodważniejszego człowieka, jako odejmujące wszelką nadzieję spotkania tak niecierpliwie oczekiwanego okrętu. Wprawdzie jenerał Hazen, stoso-

wnie do zrobionego przyrzeczenia, urządził posiłkową wyprawę tak w roku 1882 jakoteż i w roku następnym, ale żadna z nich nie przybyła na miejsce przeznaczenia.

W roku 1882 wysłano okręt Neptun, którego kapitan napotkawszy grube lodowiska w cieśninie Smitha, utrudniające wielce dalszą podróż, uznał zadanie swe jako spełnione i zamiast dotrzéć do wyspy Littleton i tam przezimować, jak to wskazywały otrzymane zlecenia, wrócił do Ameryki, nie troszcząc się wcale o los naukowej kolonii. W roku zaś 1883 wysłano już nie jeden ale dwa okręty, które, rzecz zaiste niepojęta, oddano pod rozkazy jednego z oficerów kawaleryi.

Podobną lekkomyślność i jednocześnie zarozumiałość można dostrzedz jedynie w Ameryce, aby ludzie zupełnie niefachowi, stawali na czele dzieła przechodzącego zakres ich wiadomości. W warowni Conger, ściśle wziąwszy nie było ani jednego prawdziwego marynarza, i właśnie ta okoliczność była głównym powodem strasznych następstw niedoświadczenia.

Bądźmy jednak pobłażliwymi dla Amerykanów; wszystkie wydziały administracyi państw, czy to z tej czy z tamtej strony oceanu, posiadają jedną wspólną własność zasadzającą się na chęci wystarczenia samym sobie, bez potrzeby przyzywania do pomocy ludzi będących po za ich obrębem. Działalność taka w miarę okoliczności może być zaletą lub wadą, w tym jednak wypadku wydała najsmutniejsze skutki. Jednym z wysłanych okrętów pod dowództwem dawnego oficera kawaleryi był Proteusz, ten sam, który w roku 1881 odbył szczęśliwie podróż aż do punktu na którym założoną była warownia Conger. W roku 1883 nie znalazł równego powodzenia i zgnieciony został przez lody tak nagle, że ledwo załoga miała czas spuścić łodzie na wodę i szukać na takowych schronienia. Naczelnik wyprawy, przerażony zaszłym wypadkiem, po zabraniu rozbitków na drugi okręt nazywany Yantic, dał znak do odwrotu pod tym pozorem, że przeciążony statek niezdatny był do użytku. Z tej właśnie przyczyny nieszczęśliwi członkowie naukowej osady, zostali tak długo bez najmniejszej wiadomości z rodzinnego kraju. Co gorsza jeszcze, uznano za właściwe złożyć żywność jedynie na prawym brzegu cieśniny, w górę okrętu ku biegunowi, wracająca więc wyprawa pod dowództwem majora Greely nie znalazła na przylądku Sabiny spodziewanej pomocy, a tylko jakby dla zaostrzenia apetytu rozbitków, do wzmiankowanej beczki włożono dokładny spis wszystkich przedmiotów, znajdujących się na drugiej stronie, do których z powodu utraconych łodzi przystęp był niemożliwy.

Dowódzca jednak, dawny oficer kawaleryi, jakkolwiek nie przyzwyczajony do pływania po morzu, miał jednak dobrą myśl, zostawiając łódź obok kamiennej piramidy; ale na nieszczęście zamałej, aby można było na niej przedsiębrać jakąkolwiek podróż wśród zburzonych fal morskich, pokrytych do tego bryłami lodu, z których najmniejsza zdolną była roztrzaskać statek znacznej nawet wielkości.

Żywność znajdowała się na wyspie Littleton, ale dopłynąć do takowej było niepodobna.

Nieszczęśliwi uczestnicy wyprawy mając tuż obok siebie wszystkie przedmioty zapewniające wygodne życie, skazani byli na straszną nędzę i powolną śmierć z zimna i głodu.

Mimo właściwego Lockwoodowi pokoju ducha i niewzruszonej nigdy odwagi, nie mógł wstrzymać się od złorzeczeń ludziom, kierującym posiłkowemi wyprawami, niedbale czy też nieumiejętnie prowadzonemi.

Naśladowali go jego towarzysze; szczególniej Eskimos wylewał łzy obficie, który choć w zwykłych warunkach życia był gorliwym chrześcianinem, na widok jednak groźnego niebezpieczeństwa wśród skarg żalu i narzekań wymieniał nazwiska różnych bożków pogańskich, na których nie zbywa w mitologii podbiegunowych plemion.

W rozpaczliwem położeniu w jakiem się znaleźli marynarze, szukali we śnie wypoczynku, ale że nie było czasu na zrobienie budy ze śniegu, spali zatem we wnętrzu kamiennej piramidy, przyciśnięci silnie do siebie.

Wraz z brzaskiem dziennym, Lockwood wrócił do właściwego mu usposobienia i zwalczywszy rodzące się uczucia rozpaczy, zapomniał prawie o sobie, myśląc głównie o dalszym losie towarzyszy, że zaś nie było żadnego bodźca do pośpiechu, mimo sprzyjających warunków, uczestnicy wyprawy szli po mału, jakby pragnęli opóźnić zadanie strasztiwego ciosu swym towarzyszom, którzy z tem większem upragnieniem oczekiwali w głównem obozowisku na powrót Lockwooda, że myśliwskie wyprawy nie wiodły się im wcale. Lang i drugi Eskimos, pomimo starannych poszukiwań nie napotkali ani czworonoga ani ptaka, nie dostrzegli nawet ryby i przekonali się z przerażeniem, iż miejscowość na której nieszczęsnym zbiegiem okoliczności znaleźli się, była prawdziwą puszczą, wśród puszczy, pozbawioną wszelkiej istoty żyjącej. Wiadomość o tem mogła przerazić najśmielszych, ale uczyniła ona mniej silne wrażenie ze względu na wycieczkę Lockwooda, która wedle ogólnego przekonania, miała nastręczyć środek ratunku dla wszystkich bez wyjątku.

Domyślając się tego, Lockwood wrócił umyślnie późnym zmierzchem, a chcąc smutne szczegóły podać tylko do wiadomości samego majora, zachował tajemniczą postawę również jak i sierżant Rice; Eskimos Jens nie wytrzymał a jakkolwiek nieszczególnie mówił po angielsku, dostatecznie jednak, aby opowiedzieć wszystko to co zaszło, szczególniej odwrót okrętów wysłanych w celu niesienia im ratunku.

Po wysłuchaniu sprawozdania zapanowało w obozie grobowe prawdziwie milczenie. Wszyscy siedząc ze zwieszonemi głowami, pogrążeni w rozpaczy, patrzyli na okolice jak na cmentarz, na którym niewątpliwie miały spocząć ich ciała. Pierwszy doktor Pary potrafił skupić rozproszone myśli i spojrzéć w przyszłość spokojniejszym nieco wzrokiem. Zaimprowizował nawet krótką przemowę, mającą na celu wzbudzić w sercach towarzyszów lepszą otuchę.

— Jakkolwiek nie dostrzegamy — rzekł — w miejscowości tej ani zwierząt ani ptaków, ale ostatecznie fale morskie dostarczą nam koniecznych artykułów żywności, a towarzyszący nam dwaj Eskimosi, urządzać będą przy naszej pomocy polowania na foki. Nadto wyspa Littleton będąca na drugiej stronie niezbyt szerokiej cieśniny, przechowuje prawdziwe dla nas skarby, a chociaż obecnie nie możemy płynąć dla jej zwiedzenia, ale jak tylko lody nabiorą koniecznej nieruchomości, przejdziemy pieszo po ich powierzchni. Wedle znalezionego spisu, zaspokoimy tam obficie wszelkie nasze potrzeby, przepędzimy więc zimę bez kłopotu we względnym nawet dostatku.

W trakcie tej przemowy, słuchanej pilnie przez żeglarzy, major Greely odczytał uważnie znalezione przez Lockwooda papiery. W trakcie tej czynności twarz jego zajaśniała jakby radością, widoczny był na niej uśmiech nieznanego od dawna zadowolenia. Powziął z nich niespodzianie wiadomość o urządzonym składzie żywności na tym samym brzegu cieśniny, na którym się znajdowali w okolicy nazywanej przylądkiem Izabeli poniżej przylądka Sabiny. Miało tam znajdować się pięćset racyi, co przy oszczędności zapewniało na długi czas utrzymanie. Skoro podbiegunowi koloniści usłyszeli tyle pomyślną nowinę, wydali głośne okrzyki radości i chcieli jak najspiesznięj urządzić wyprawę we wskazanym kierunku. Dowódzca jednak pohamował zapał swych podwładnych. Przedewszystkiem postanowił założyć obóz w innej miejscowości, ponieważ na obecnem stanowisku nie znajdowali najmniejszej osłony, przed północnemi wiatrami.

Po zwiedzeniu okolicy w różnych kierunkach, odkryli nareszcie górę, u stóp której, na południowej stronie postanowili zamieszkać, aż do chwili przypuszczalnego nadpłynięcia jakiego okrętu. Wysokie, prawie prostopadle wzniesienie ziemi, zabezpieczało od wichrów, czyniąc tem samem możliwym przedłużony pobyt. Zaraz więc zajęto się zbudowaniem mieszkania, różnego wielce od znajdującego się w warowni Conger. Było to siedlisko nie ludzi ucywilizowanych ale barbarzyńców, niemających o wygodzie żadnego wyobrażenia. Major Greely nadał mu nazwisko obozu Clay, na cześć senatora tego miana, popierającego wielce swym wpływem urządzane wyprawy do bieguna.

Na nieszczęście w dziele pana de Fonvielle nie znajdujemy żadnych bliższych szczegółów, dotyczących założonego obozu Clay; nie wiemy dokładnie z jakiego materyału wzniesioną była budowla; ogólnie tylko wspomina autor o śniegu, kamieniach i deskach ze statku Neptuna. Czółno przewiezione z przylądka Sabiny posługiwało za dach i rodzaj wieży, na której zatkniętą była amerykańska flaga.

Dla zabezpieczenia od wilgoci, wyłożono ziemię żaglowem płótnem i skórami bawołów, a że mieli zbyt mało materyałów palnych, aby ogrzewać się przy ognisku, rozpalali go tylko do odtajenia artykułów, w chwili brania posiłku.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# NA „OSADY ROLNE".

## Odczyty publiczne wygłoszone w sali ratusza

w Warszawie.

### II.

Charakterystyka głośnego w swoim czasie humorysty, „chirurga filozofii, kawalera krzyża naturalnego", była przedmiotem odczytu pana Maryana Gawalewicza.

Pan G. w pogawędce zajmującej bardzo, opowiedział wiele szczegółów z życia Augusta Wilkońskiego, znanego w owoczesnym światku literackim pod nazwą „wujaszka".

Wilkoński wstąpiwszy w szranki literackie, odrazu zjednał sobie niezwykłą popularność i rozgłos, każdy nowy jego utwór rozchwytywano w lot i dziś jeszcze „Ramoty i Ramotki" jego cieszą się

powodzeniem i dziś są czytane, gdyż autor ich gryzł wprawdzie, ale „gryzł sercem”, chłostał rózgą satyry, lecz z każdego wiersza, który nakreślił tryska ta szczera, niekłamana miłość dla społeczeństwa i dla kraju.

Sądzimy, iż Czytelniczkom naszym nie obce są szczegóły, dotyczące życia i prac Wilkońskiego, i z tego powodu nie podajemy całkowitej treści odczytu pana Gawalewicza, zaznaczamy tylko, że prelekcya bardzo sympatycznie przyjętą została przez słuchaczy; p. Gawalewicz albowiem, umie pogawędkom swoim nadawać formę wykwintną, a przytem posiada dar wyśmienitej dykcyi.

Następny odczyt zgromadził jeszcze więcej publiczności i nic dziwnego, na katedrze albowiem miała się ukazać kobieta „doktor medycyny”. W całej Warszawie a nawet i w całym kraju, liczba doktorów takich wynosi zaledwie trzy, zaś pani Tomaszewicz-Dobrska, małżonka znanego w Warszawie lekarza, jest pierwszą kobietą-lekarzem w Polsce.

Ona to właśnie ukazała się na katedrze publicznej w sali ratuszowej i rozwinęła przed bardzo licznem audytoryum temat „o kosmetykach”.

Przeważna część słuchaczy sądziła, że pani Tomaszewicz-Dobrska, wystąpi z groźną filipiką przeciw środkom sztucznego upiększania twarzy, że wykaże w których mianowicie środkach upiększających znajdują się preparaty szkodliwe dla zdrowia, że wreszcie dążność kobiet do podniesienia i powiększenia swych wdzięków, nazwie czynem karygodnym, nienaturalnym.

Przypuszczenie to było najzupełniej mylnem. Słuchaczki, które spodziewały się, że usłyszą wygłoszoną z katedry wiadomość o tem, który ze znanych sposobów na porost włosów, lub udelikatnienie cery jest najlepszym i najmniej zawodnym, doznały rozczarowania. Również rozczarowali się i słuchacze, którzy radzi byli usłyszeć ostrą filipikę przeciwko sznurówkom, gorsetom, korkom w trzewikach i tym podobnym torturom, którym nasze piękne panie poddają się dobrowolnie, ażeby uczynić swą figurkę o jeden cal szczuplejszą, nóżkę o kilka linii mniejszą.

I tu i tam zawód.

Pani Tomaszewicz wzięła kwestyę głębiej, jako przyrodnik i jako filozof, zastanawiała się nad tem, zkąd powstała w płci pięknej chęć podobania się, owa kokieterya wrodzona niejako, od której żadna na świecie kobieta wolną nie jest. Prelegentka twierdzi, zapatrując się na człowieka, nie jako na wyjątkowy twór natury, leczjako na cząstkę całości wielkiej, jako na najwyższy szczebel w nieskończonem stopniowaniu gatunków, że począwszy od raka aż do człowieka, też same skłonności stanowią rdzeń wszystkich istot żyjących, modyfikując się jedynie pod wpływem ustroju i warunków życiowych.

Pani Tomaszewicz-Dobrska porównywa gestykulacye cietrzewia, do wzięcia się nadobnego młodziana w salonie... kokieterya i chęć przypodobania się istnieje wszędzie, a taż sama pobudka, która każe dzikim hotentotkom umieszczać klocki w nozdrzach, skłania piękne nasze panie do noszenia kolczyków. Tamte dziurawią sobie uszy, te nosy, środki różne, ale cel ten sam.

W wysokim stopniu zajmującą jest ta jednakowość motywów, skłaniających stworzenia do wynajdywania środków upiększających ich postać.

W konkluzyi pani Tomaszewicz, nie potępiając ryczałtowo wszelkich kosmetyków, jak to czynią wszyscy w tym przedmiocie piszący, dała jednak słuchaczkom do zrozumienia, że najlepszym kosmetykiem jest zimna woda, a my dodalibyśmy od siebie, że naturalność, wykształcenie i pogoda duszy.

Kobieta każda podobać się może, bez uciekania się do środków sztucznych: piękny charakter, zacność i prostota to jej najwdzięczniejsza ozdoba.

Odczyt był przyjętym entuzyastycznie. Prelegentka mówi tak zajmująco, barwnie i świetnie, posiada tak doskonałą dykcyę, że niezawodnie każde jej ukazanie się na katedrze ściągnie tłumy publiczności.

---

# DO KOBIETY.

Ty się przebudź! Niech twoje łachmany,
Ozdobne cacka, zalotnej miano,
Noc pochłonie. Wszak za te liczmany,
Dotąd ci szczęścia nie dano...

Ty się przebudź! Już ranek zabłysnął,
Naiwnej, dziecku oddaj twą rolę,
Sama, dłoń wzmocnij, by w niej rozprysnął
Przesąd co gniecie twą wolę...

Ty się przebudź! Już dzionek złoty,
Tłumy powołał do pracy i wrzawy,
Tobie, jedynej brance ciemnoty,
Zostawił tylko zabawy...

Ty się przebudź! Odważnie i śmiało,
Weź się rześko do wiedzy i pracy,
Idź tam nieść ulgę, gdzie szczęścia mało,
Gdzie o chleb modlą żebracy...

Ty się przebudź! Niech mała dziecina,
Wsparłszy swą główkę na twojem łonie,
Modlić się, kochać, myśléć zaczyna,
Niech wiarą w prawdę zapłonie.

Ty się przebudź! Skromna lecz wytrwała,
Powstań do walki o byt twój własny,
Kobietą wolną, gdyś noc przespała,
Niech cię powita dzień jasny.

*Helena Obertyńska.*

---

# Z pod naszej strzechy.

*Treść:* Panna Patti. — Mucha naprzykrzona.—Termina koncertów.—Uwaga Kuryera Warszawskiego.—Kupno biletów przez młodzież uczącą się. — Złe wychowanie. — Skutki z tego.—Hrabia Zachorów i Patti. — Walka ciekawości z rozumem. — Zręczność impresaryów. — Pani Wolter w New-Yorku. —Wybryk reklamy. — Nasi aktorowie. — Znakomici. — Bolesław Prus. — Opozycya przeciw jego znakomitości.—Obrona. — Grajkowie i śpiewacy. — Deklamator. — Czem pisarz zdobywa tytuł znakomitego. — Zasługi Prussa. — Wieści o Kraszewskim. — Z Nowości i z Tygodnika Illustrowanego.

Panna Adelina Patti... serdecznie przepraszam, że w kwestyi tej znów głos podnoszę, ale myśl o niej to jak owa natrętna mucha, z którą rób co chcesz, machaj, spędzaj i odpędzaj, a ona brzęczy ci koło oka, nosa lub uszów i pac! już siadła na miejscu przez siebie upatrzonem.

Otóż panna Adelina Patti będąca tą samą dla mnie nieznośną muchą, dobrze przejrzałego kalibru, zawiadomiła dyrekcyą teatrów, iż zapowiedziane jej dwa występy na scenie naszej mają się odbyć w wigilią Wigilii i w drugie Święto Bożego Narodzenia. Kuryer Warszawski rozważając dni te terminowe, tak wielkiej dla chrześcian pamiątki, powiada: Patti jest gwiazdą, ani słowa! ale nie tej gwiazdy Warszawa wyglądać będzie w przeddzień Wigilii, bo gwiazda wigilijna świeci zarazem bogaczowi i nędzarzowi, wszyscy do niej ręce wyciągają z jednaką wiarą, z równą nadzieją i nie ma w obec niej uprzywilejowanych i nikt nie potrzebuje pozbawiać się jej widoku, że go opłacić nie może. Zostaniemy więc w domu i jak chce obyczaj dawny pamiętać o tem będziemy, żeby podzielić się chlebem ze wszystkiemi, zamiast używać samolubnie smaku artystycznych marcepanów, aby nikt w Warszawie nie powiedział, że podczas gdy jedna część jej o głodzie rozmyślała jak spędzić Wigilią Bożego Narodzenia, druga rozkoszowała się w lożach 75-cio rublowych i w krzesłach 16-to rublowych.

Mimo jednak tego głosu tak poczciwego i rozumnego, czytanego przez całą Warszawę, miejsca już wszystkie na paradyz po rs. 2 i na galeryą po rs. 5 rozebrane zostały i to prawie wyłącznie... przez uczącą się młodzież szkolną i uniwersytecką.

Szastać cudzym groszem bardzo łatwo, boć na chwilę przypuszczać nie można, aby między ową młodzieżą pomiatającą opinią starszych głoszoną przez codzienne Pisma, znajdowali się utrzymujący z własnej pracy.

Zanadto znają oni potrzebę oszczędności, aby marnowali szczupłe swe fundusze na zaspokojenie ciekawości, nieprzynoszącej żadnego moralnego pożytku.

Przyszli zatem widzowie paradysowi i galeryowi, to dzieci majętniejszych rodziców, nieprzynoszący wcale zaszczytu wychowaniu jakie odebrali. Spieszą bowiem na zapowiedziane występy nie z poczucia artystycznego mało jeszcze rozwiniętego, nie ze znawstwa, którego posiadać nie mogą, ale wprost z przekornej chętki zrobienia tego, czego starsi nie radzą. Oni to także stanowią ową górną falangę w teatrach tutejszych, do nieznieśienia hałaśliwą i niespokojną i tym wrzaskliwiej wywołującą i klaskającą, im więcej widzowie z lóż i krzeseł sykaniem do porządku przywołują. Myśląc o tem, smutek mimowoli ogarnia serce. Swawola to zbyt bolesna, aby nie miała trwożyć o przyszłość społeczną.

Powiadają, że panna Patti jest niezmiernie łaknąca grosza i rozstawania się z nim nienawidzi; o ile go pragnie dowiodła wygórowaną ceną za swoje występy, o ile go zaś ściskać lubi, na to nie ma dowodów. Przeciwnie nawet głoszą, że jakiś prosty rzezimieszek, przedstawiający się jako hrabia Zachorow, wydarł z niej podstępem 5,000 dolarów. Czyżby na nas to oszustwo chciała powetować?

Bądź co bądź, Warszawa skazaną została na straszną walkę ciekawości z rozumem, a jest ona rzeczywiście straszną, jeżeli zwrócimy uwagę na zręczność impresaryów, często do śmieszności posuniętą i umiejących na prawdę z kozła robić barana.

Kiedy do Nowego-Yorku zapowiedziano przybycie artystki tragicznej, pani Wolter, najprzód

chwalono ją i sławiono po dziennikach jako ósmy cud świata, prawie że nie na księżycu przez publiczność oklaskiwaną. Gdy roztrąbiono jej sławę na wszystkie strony świata, tak że nazwisko artystki znane było nawet ulicznikom w trepkach, o jednej szelce z gwizdaniem przebiegających ulice, naówczas dzienniki zaczęły głosić o niej niestworzone rzeczy, różne anegdotki, facecyjki, zdarzenia, wypadki; potem rozpisywano się obszernie o jej zbytku, bogactwie, kaprysach, a w końcu wreszcie, gdy już występy artystki miały się rozpocząć, jeden z dzienników najpoczytniejszych wypowiedział:

„Za dni kilka pani Wolter, co jak gwiazda spadająca zajaśniała na naszym horyzoncie, rozpocznie występy swe już tak dawno zapowiedziane. Na zalecenie spieszenia na nie, nie możemy się odważyć, gdyż gra artystki działa tak wrażliwie na nerwy, że w Wiedniu trzech lekarzy żyje tylko z pacyentek, które im gra pani Wolter w teatrze nadwornym dostarcza.

Zdaje się, że blaga dalej posuniętą być nie może, każdy z niej rozśmiał się, skulił ramiona... i poszedł na przedstawienie. Impresaryo zrobił świetny interes: zgarniając dolary śmiał się skrycie... z naiwności ludzi, w których wszystko wmówić można, zwłaszcza, że pani Wolter była dobrą artystką, ale bardzo zwyczajną, nieodznaczającą się żadną zbyt wybitną szczególnością, któraby ją na świeczniku wielkości stawiała.

Jakże impresaryo podobny, byłby mile powitany przez niektórych naszych młodych aktorów, nieumiejących nawet mówić dobrze na scenie a pozujących na wielkości godne występu, także choćby na księżycu.

Gorączkowe to pragnienie, zbierania owoców przed ich dojrzeniem, jest charakterystyką dzisiejszego pokolenia. Na nic czekać nie chcemy, praca nas nudzi, trud odpycha i co dawniej po dziesiątkach lat dopiero zdobywano, my zaraz pragnęlibyśmy to posiąść, w rok a najdalej we dwa po rozpoczęciu jakiego zawodu.

Mamy też znakomitości pełno, kreowanych przez życzliwych różnemi zyskiwanych sposobami. Gdzie tylko zwrócić się, znakomitości wyrastają jak grzyby po deszczu, niby błyszczą, niby przyświecają... a jednak ciemności otaczają nas wkoło i w pośród nich tak duszno, że trudno oddychać.

Niedawno z tego tytułu, wywiodła się na widok publiczny sprawa, w imieniu znakomitości podniesiona.

Oto Spółka nakładowa, ogłaszając przedpłatę na szkice i obrazki Bolesława Prussa, nazwała go w prospekcie znakomitym. Niepodobało się to pewnej części publiczności, podającej w wątpliwość znakomitość Prussa. Za młody jeszcze na tak honorowy tytuł, powiedziano, za mało jeszcze zrobił a wychwalany zbyt wcześnie, nabierze zarozumiałości, pychy i przepadnie z wielką szkodą społeczną.

Głosy takie niespodobały się znów autorowi Pogadanek w Kuryerze Codziennym i wychodząc z zasady, że jeżeli wysławianych przez prasę na wszystkie tony, znakomitych artystów lub artystek, cała wielkość i zasługa polegają na tem, że umieją zgrabnie wywijać smyczkiem, zwinnie przesuwać palce po klawiaturze, lub wreszcie dobrze uformowaną krtanią wokalizować natchnienia prawdziwych mistrzów muzyki, to tymbardziej tytuł *znakomitego* przynależy Prussowi, który już lat dziesięć przeszło chodzi w jarzmie publicznem i wojuje do syta z wszelkiego rodzaju stałymi lub przygodnymi przeciwnikami.

Przeciw znakomitości Prussa, nie mam nic do nadmienienia: owszem szanuję go wielce i cenię jak na to rzeczywiście zasługuje. Muszę jednak zwrócić uwagę Autora Pogadanek, że zupełnie co innego jest pisarz tworzący dzieła czy muzyczne czy literackie, a co innego artysta muzyk wygrywający kompozycye mistrzów przez siebie wybranych.

Czytającego wybornie utwory naszych pisarzy i poetów, czyż po kilkorazowem wysłuchaniu go nie nazwiemy znakomitym deklamatorem, pewni, że każdą rzecz podobnie dobrze odczyta?

Ten sam wypadek zachodzi z artystami, tak zwanemi grajkami, którzy nie umieją tworzyć, tylko odgrywać lub odśpiewywać dzieła kompozytorów. Po jednym ich występie publicznym, można zaraz poznać co mogą i co umieją, bo jeżli znakomicie zadanie swe spełnili raz, to nie ma wątpliwości, że je spełnią podobnie raz drugi i setny nawet i dlatego nic dziwnego, że ich zaraz czczą tytułem znakomitości.

Z pisarzem czy muzykiem kompozytorem, rzecz się ma zupełnie inaczej. Jeden utwór przez niego znakomicie napisany nie przesądza sprawy na przyszłość i zawsze pozostawia wątpliwość czy drugi godny będzie pierwszego, czy twórczość swą na tym jednym utworze ukończy czy też pójdzie dalej. Moc talentu jego ujawnia się dopiero pomału, przez to co robi i z tych dopiero wytworów cząstkowych jego ducha, tworzy się opinia ogólna wartości pracownika i to za życia nie zawsze sprawiedliwa.

Ileżto lat Kraszewski pracował, zanim znakomitym nazwany został; Korzeniowskiego, Wilkońskiego i innych, nikt za życia znakomitymi nie nazywał, a Autor Pogadanek gniewa się, iż Pruss choć *już przekroczył trzydziestkę*, a jednak niechętni warczą na oddanie mu przez nazwę *znakomitość*, spóźnionej sprawiedliwości jaka mu się oddawna należała. Zapewne więc zaraz w drugim roku zawodu literackiego poczciwego Prussa, gdy jako młodzieniaszek wyfrunął z piórem w ręku z domowej zagrody, aby kołatać do serc ludzkich i przemawiać do nich w imię obowiązku. Spełnia to prześlicznie, to prawda, nieraz pragnęłoby się uścisnąć mu poczciwą dłoń, że umie w głosie podnoszonym łączyć tak zręcznie humor z rozumem, ale wszystko to są rzeczy chwilowej niezmiernie wartości, jak letnie poranki cudne rosą i wonią, niknące szybko pod słońca promieniem.

W ostatnich numerach Nowości, znajduje się urywek z listu p. Niemirowicza-Danczenki, rossyjskiego beletrysty, który widział Kraszewskiego w ubiegłym tygodniu w Medyolanie i tak pisze:

„Znakomity i głośny do tej pory z utworów swoich a odtąd i z nieszczęść przebytych, pisarz polski Kraszewski, spędził w Medyolanie trzy dni po drodze do Riviery, której cudowny klimat ożywczo oddziała na siły twórcze szanownego starca. Tłumy medyolańczyków spieszyły do Kraszewskiego, aby wyrazić mu swe współczucie, ale towarzyszący mu lekarz zabronił bezwarunkowo rozmawiać i przyjmować obcych. Kraszewski niedawno jeszcze silny i żwawy, chodzi teraz pochylony i rzecz widoczna, że gdyby jeszcze miesiąc w więzieniu przepędził, zdrowie jego byłoby bezpowrotnie nadwerężone. I teraz lękają się jak z tem zdrowiem będzie. Jakkolwiek cierpi fizycznie, Kraszewski jest jednak po dawnemu silny i jasny duchem. Ma szerokie plany i łagodne, pieszczotliwe wybrzeża Śródziemne, pozwolą mu zapewne niebawem przystąpić do pracy.

W Medyolanie raz tylko wyjeżdżał z domu: był u fotografa Ricci, który zdjął z niego podobiznę. Mnóstwo kart wizytowych złożono tutaj Kraszewskiemu na dowód, że ciemnice twierdzy magdeburgskiej, nie ujęły mu powszechnego uwielbienia, przeciwnie, zwiększyły je. Ani też w myśli komukolwiek, aby Kraszewski mógł być winnym we właściwem tego słowa pojęciu; najpopularniejsze tutejsze pisma, jak: Il Secolo — Corriere della sera — Italia — i Lombardia, pomieściły jego życiorys a illustrowane i jego wizerunek.

Kraszewskiego dzieła prawie wszystkie przełożone są na język rossyjski, życzmyż mu więc, powiada w końcu korespondent, i my z serca przybytku sił żywotnych i dzielności. Księgarnia Treves jedna z najpierwszych w całych Włoszech, przystępuje obecnie do przekładu zbiorowego, najlepszych utworów Kraszewskiego.

W ostatnim numerze Tygodnika Illustrowanego, pomieszczono wyjątek z listu Kraszewskiego, pisanego z San Remo, ślicznej miejscowości nad brzegiem morza Śródziemnego.

Oto co pisze:

„Muszę z Polem powtórzyć: chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, są dobrzy ludzie. Prawiem już o tem zwątpił, przekonawszy się jak moi współziomkowie z Poznańskiego, mało się o los mój troszczyli. Tymczasem Bóg mnie tu pocieszył. W Medyolanie już znalazłem przygotowania do ułatwienia mi podróży, tu i w Genui życzliwych przyjaciół, którzy mojej niemocy i zgkaniu przyszli z chętną pomocą. Nadewszystko zaś zacny, wielce sympatyczny D-r Tymowski w San Remo, niezmiernie mi ułatwił debarkowanie i pierwsze urządzenie się, a w ostatku i radę dla zdrowia dał, niezmiernie pilno potrzebną, bo niestety! jestem ruiną: takiemu dobremu sercu nie wiedzieć czem się odwdzięczyć, nie wiedzieć jak okazać, że się je ocenia umie.

„Żonaty jest z Włoszką, która się po polsku nauczyła dobrze, dzieci mówią także po polsku.

„Wczoraj było chłodno, dziś i cieplej i trochę jest słońca. Morze mruczy cudownie pod oknami, róże i fijołki, kwiaty najrozmaitsze po ogrodach. W jednej z willi, którą oglądałem, dali mi Flos passionis ponsowy, przepyszny, jakiegom w życiu nie widział. Ale co za zbieg... nazwiska z moim losem!... Cudowne San Remo! Jestem bardzo osłabiony a szczególniej po obiedzie, pod wieczór cierpię cicleśnie i dusznie. W miarę oddalenia, ta tęsknica za krajem wzmaga się, aż do nerwowego rozdrażnienia. Patrzałem z góry na morze, zkąd widać aż Korsykę pono, a na oczach mi stało stracone Podlasie i moje rodzinne kąty... Nigdy! stało między mną a niemi."

## WIADOMOŚCI Z KRAJU.

† **Ś. p. Jan Papłoński.** Warszawski instytut głuchoniemych i ociemniałych poniósł ciężką stratę. W sobotę (28 z. m.) o godzinie 8 wieczorem, rozstał się z tym światem dyrektor tego zakładu, znany dobrze Warszawie i krajowi całemu, ś. p. Jan Papłoński. Pasmo jego życia przerwane zostało nagle i niespodziewanie, po długiej chorobie, którą przeszedł bardzo pomyślnie, zaczął powracać do zdrowia i sił i zdawało się że jeszcze długo będzie mógł pracować

dla dobra głuchoniemych i ociemniałych, dla których był prawdziwym ojcem.

Stało się jednak inaczej i wychowańcy Instytutu opłakują ciężką swą stratę.

Papłoński urodził się w roku 1819 w gubernii Kowieńskiej, szkoły kończył w Wilnie, uniwersytet zaś w Moskwie. Mając 21 lat życia został nauczycielem w szkołach rządowych i odtąd ciągle pracował w zawodzie pedagogicznym.

Wykładał w Akademii duchownej i w b. Szkole głównej a w roku 1862 objął stanowisko dyrektora Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Zwiedziwszy przedtem podobnego rodzaju zakłady za granicą, Papłoński zaprowadził w Instytucie poważne reformy, otworzył drukarnię, warsztaty i ogród pomologiczny, zastosował ulepszoną metodę nauczania i dzięki jego staraniom i zabiegom, warszawski Instytut głuchoniemych i ociemniałych, należy dziś do pierwszorzędnych zakładów tego rodzaju w Europie.

W gronie ludzi zasługi, oddanych całą duszą obowiązkom swoim, pracujących dla dobra ogółu uczciwie, szczerze, a umiejętnie zarazem, śmierć ś. p. Papłońskiego zrobiła znaczną szczerbę.

W chwili, gdy nasz „Tygodnik" znajduje się pod prassą, z kościoła św. Aleksandra wyrusza orszak żałobny, wdzięczni wychowańcy Instytutu, koledzy, przyjaciele i liczne grono osób ze sfer inteligentnych, odprowadza zwłoki ś. p. Papłońskiego na cmentarz Powązkowski.

Rzucamy na jego trumnę garść ziemi mówiąc: „cześć pamięci zacnego i zasłużonego pracownika".

*** **Prawdziwy dobroczyńca.** Ludzie biedni, szukający pracy w Warszawie, gdzie o nią coraz trudniej, bo wszyscy tutaj się cisną, bywają często narażani na wyzysk oszustów. Ostatni grosz pada ofiarą łatwowierności z jednej a chciwości z drugiej strony, a jednak pomimo tylu smutnych faktów, które powinnyby stać się przestrogą, w codziennych pismach spotykamy niemal w każdym numerze, żądania posady w zamian za odpowiednią zapłatę.

Prawdziwym też dobroczyńcą biedaków, nazwiemy pana Z. mieszkającego przy ulicy Senatorskiej, który zajmuje się wyszukiwaniem posad dla potrzebujących.

Zamożny, niezależny, pan Z., używa wszelkich sprężyn dla dopięcia swoich zamiarów. Posiadając rozległe stosunki, korzysta z nich, a choć się może narazi niejednemu z takich, którzyby woleli za swą „grzeczność" otrzymać pewne wynagrodzenie, inni znowu popierają jego dobre chęci.

Według ściśle prowadzonych notatek, dobroczynny ten człowiek, w ciągu bieżącego roku, zdołał umieścić na rozmaitych posadach przeszło siedmdziesięciu protegowanych.

Jest-to filantropia stokroć pożyteczniejsza, aniżeli udzielanie jednorazowej, lub nawet stałej zapomogi.

Obyśmy jak najwięcej mieli takich ludzi!

*** **Przeciw wilgoci.** Pan G. Bitter inżynier technolog, przedstawił na tegorocznej wystawie rolniczo-przemysłowej preparat, zwany „Exicatorem", zabezpieczający drzewo od gnicia i grzybka a służący zarazem jako środek przeciwko wilgoci, gdyż usuwa ją ze starych murów i ochrania nowe.

Próby „Exicatora" wykazały rezultat nadzwyczaj pomyślny, skutkiem czego, na posiedzeniu d. 21 Listopada, komitet przysłał p. Bitterowi list pochwalny, uznając przytem rzetelną zasługę wynalazcy.

Zastosowanie preparatu jest nadzwyczaj proste, koszt również nie wielki, co wziąwszy na uwagę, spodziewać się możemy, że wilgoć będąca dziś tak ciężką plagą starych i nowych domów, wkrótce znaną będzie tylko z nazwiska.

## WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Nowa gwiazda.** Los bywa często niesprawiedliwym, jednych obdarza zbyt hojnie, wcale nie zważając, że dla innych nic się nie zostanie i pokrzywdzeni, całe życie skarżyć się będą na nierówny podział.

Prawdziwym wybrańcem losu nazwać się może margrabia de Altavilla, były szambelan królowej Izabelli hiszpańskiej. Bogaty, zarzucony orderami dygnitarz hiszpański, zapragnął tryumfów scenicznych i odbył pierwszy debiut w Paryżu na t. z. Figaro-Soirée.

Debiut wypadł tak korzystnie, że margrabia de Altavilla hr. de Luna, postanowił poświęcić się zupełnie karyerze śpiewaka i rozpocznie występy po nowym roku.

Nie trudno sobie wyobrazić jaką zazdrość to bezprzykładne powodzenie obudzi w artystach, którzy po długich, ciężkich studyach smutnego doznali zawodu, podczas gdy ten śpiewak-amator zbierać będzie oklaski i pieniądze.

*** **Potworek.** Angielskie dzienniki donoszą o śmierci osobliwego stworzenia, znanego tam pod nazwą kobiety-małpy. Biedactwo to żyło lat dziesięć, obwożone po całym kraju i pokazywane za pieniądze.

Nieszczęśliwa dziewczynka przedstawiała istotnie wiele podobieństwa do małpy: cała jej postać okryta była ciemnym długim włosem, a twarz zupełnie zwierzęca, szczególniej wtedy gdy była w gniewie i policzki jej się pofałdowały. Została przywieziona do Anglii z Indo Chin przez podróżników, którzy ją spotkali w Laos.

Potwór ten nie miał najmniejszej inteligencyi, lecz tylko instynkt, jak zwierzę. Uczeni angielski studyowali zapewne to dziwne stworzenie, lecz nie pisano jeszcze nic do tej pory, tylko zdjęto kilka fotografii i odmodelowano ręce, nogi i głowę.

*** **Nie chciała być królową.** Życie artystek obfituje w niespodzianki, czasem tak nieprawdopodobne, że po upływie lat niktby im nie uwierzył. Jedna z takich niespodzianek spotkała pannę Genowefę Ward, podczas ostatniej wycieczki artystycznej do Australii i Nowej Zelandyi. Piękność młodej miss zachwyciła starego króla Maorów, Tawsaio; rozkochany do szaleństwa bywał codziennie na występach, a nareszcie poprosiwszy o audyencyą, ofiarował artystce swoją rękę.

Ponieważ jednak, jego królewska mość posiada już cztery żony, miss Ward nie chciała zostać piątą.

Rozkochany monarcha, domyślając się, iż jego wielożeństwo jest przyczyną odmowy, oświadczył artystce, że zabije cztery żony.

Młoda angielka propozycyi tak zaszczytnej przyjąć nie chciała, a król zdumiony jej uporem, nie nalegał więcej.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

*Pani Sewerynie W. w Ł.* Cztery opowiadania wydane dla prenumeratorów Przyjaciela, w treści historycznej, mogą byc nabywane i przez prenumerujących Tygodnik Mód. Na miejscu w Redakcyi cztery te książeczki kosztują rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 15.

## ZAWIADOMIENIE.

Zapowiedziane wydawnictwo powieści, jako premium dla czytelników Przyjaciela Dzieci, opóźnione z przyczyn od Redakcyi niezależnych, wyszło na widok publiczny i obejmuje następne cztery opowiadania:

1. **Popiel i Piast** z wieku IX.
2. **Chrzest Mieczysława** z wieku X.
3. **Dwaj bracia**, powieść z dziejów starożytnej Grecyi.
4. **Bohaterowie i Niewolnicy**, powieść z dziejów dawnej Romy.

Dziełka te już przesłano tym, którzy należność nadesłali do Redakcyi.

Pragnący je nabyć, raczą nadesłać rs. 1 kop. 15, a natychmiast wyekspedyowane zostaną. Na miejscu bez przesyłki pocztowej kosztują rs. 1.

Dziełka te, w zajmującem opowiadaniu obejmujące rzeczy ściśle historyczne, ożywione dramatycznem obrazowaniem, są zarówno pouczające jak i zajmujące i dlatego młodzieży śmiało polecone być mogą.

Jeżeli ta pierwsza serya przychylnie przyjętą zostanie, przystąpimy do wydawnictwa drugiej, o czem we właściwym czasie doniesiemy nie zaniedbamy. Prenumeratorowie Tygodnika Mód, mogą także dzieło to nabywać.



☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i prospekt Roli, oraz dla prenumeratorów na poczcie: prospekta Wieku i Dziennika dla wszystkich.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Ноября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

**Dodatek.**

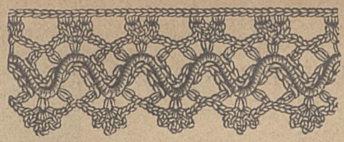
## Opis do N-ru 48.

*(Dokończenie.)*

N. 27. Koszyczek do kluczy ozdobiony aplikacyą haftu robionego na aksamicie i wyciętego. Deseń i wskazówki roboty na ryc. 7 w N. 49.

N. 28 — 30. Patarafka pod lampę. Haft gobelinowy szwedzki.

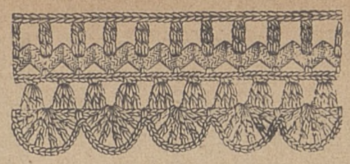
Na ryc. 29 dajemy w naturalnej wielkości część deseniu, którą dopełnić trzeba sposobem wskazanym na ryc. 28; a na ryc. 30 jest powiększona próbka roboty, w której oprócz ściegu gobelinowego użyty jest ścieg krzyżowy i ścieg pleciony; ten ostatni zajmuje tylko miejsce jednego krzyżyka. Na tło pod haft służy grube płotno domowej roboty, tkane z nitek podwójnych, na którem łatwo obliczyć nitki. Na modelu do haftu użyta była filozela dwunitkowa w kolorach ponsowym, niebieskim białym i dwa cienie orzechowe. Przedziały pomiędzy haftem odznaczone kręconą nitką złotą, przeszywaną przez wierzch cienkiem jedwabiem. Na modelu tło patarafki było z pluszu pawiego koloru; wązką pasmanteryjną frendzelkę, wszywa się pomiędzy wierzch i podszewkę.



N. 1. Ząbki szydełkowe z mignardise.



N. 3. Negliżyk. Patrz ryc. 18 w N. 48.



N. 2. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

N. 36. Rękawiczki zimowe obłożone futrem.

Rękawiczki z czarnej kozłowej skórki zapinane na haczyk, podszyte są białą flanelą i obłożone z brzegu 10 c. szerokim paskiem puszku mewy.

N. 37. Rękawiczki wizytowe.

Rękawiczki z ciemno bronzowego trykotu zdobiły dwie bufki 4½ cent. szerokie, z trykotu złotego koloru, przedzielone 5 cent. szerokim odstępem.



N. 4. Berecik aksamitny.



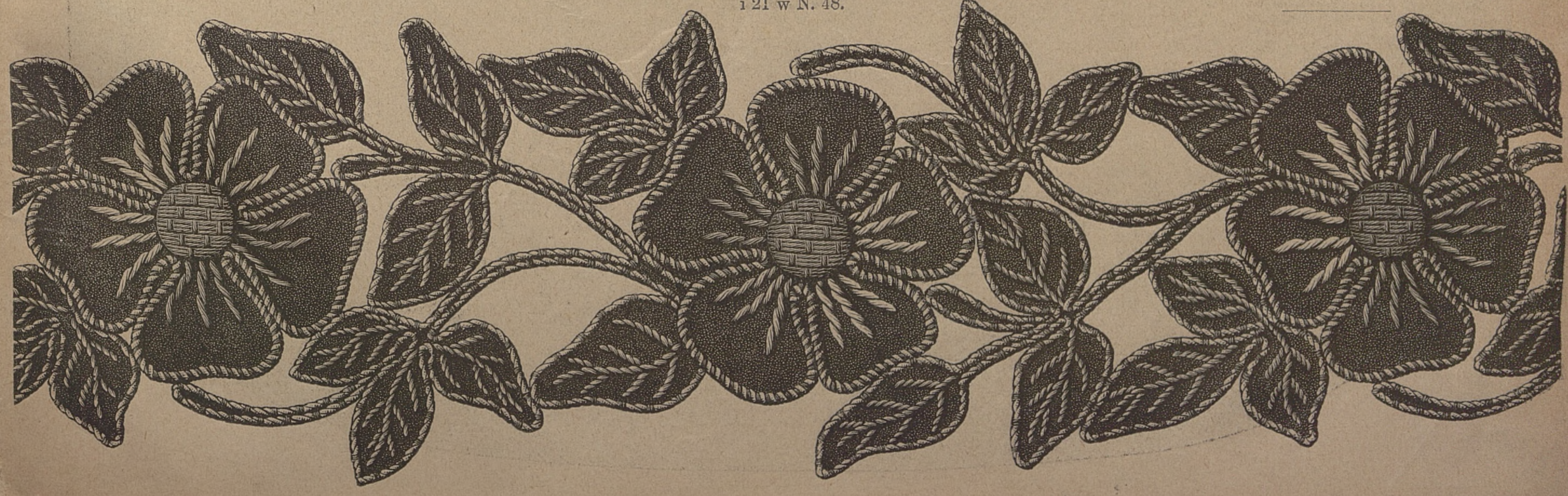
N. 5. Kapotka aksamitna. Patrz ryc. 23.



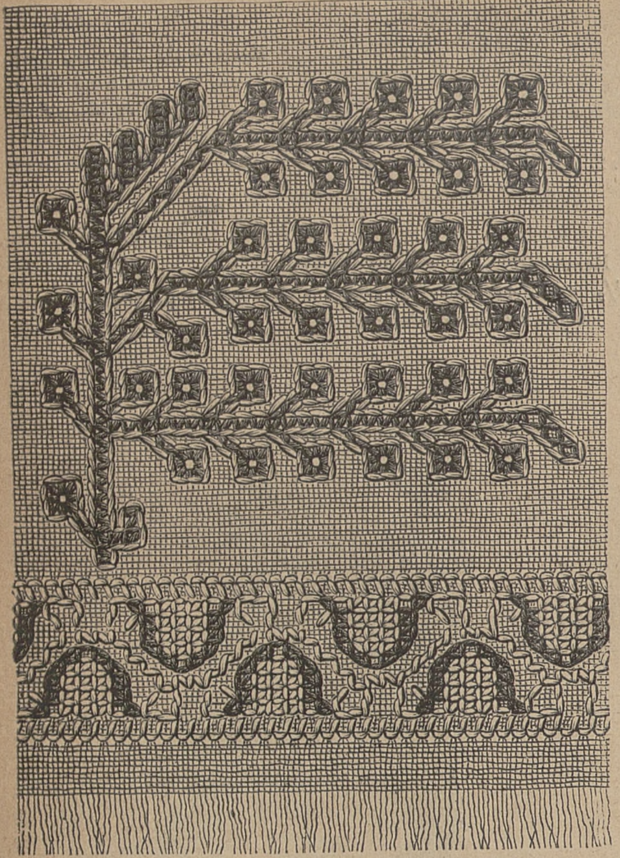
N. 6. Ubranie wizytowe z długą draperyą. Opis przy ryc. 9 i 21 w N. 48.

N. 40-41 i r. 21 w N. 49. Płaszczyk długi z frendzlą z drewnianą oprawą.

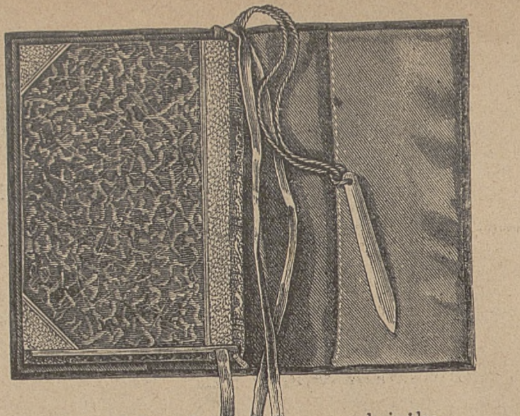
Ryc. 40 przedstawia z przodu piękny płaszczyk pluszowy z lekko watowaną podszewką jedwabną, oszyty sutą frendzlą sznelową, której każden promień wprawiony jest w obsadkę drewnianą, jak to wskazuje ryc. 21 w N. 49. Płaszczyk na ryc. 41, oprocz frendzli zdobi jeszcze haft odrobiony na jedwabnym repsie szmelcowanemi perełkami; kontury deseniu obwodzone są cienkim jedwabnym sznureczkiem. Haft ten pokrywa górną część wierzchów rękawów i spuszczony jest w trzy spiczaste zęby na boki płaszczyka. Dolmanowe rękawy mają 60 cent. dolnej szerokości, plecki zakończone są krótkim, frendzlą oszytym bawetem, pod którym przyszywa się od spodu bryty tylne, dopełniające szerokość płaszczyka, złożone w górze w trzy kontrafałdy.



N. 7. Szlak haftowany do ryc. 27 w N. 48.



N. 8. Haft w guście wschodnim do ryc. 10. Patrz ryc. 14 w N. 48.



N. 9. Pokrowiec na książkę. Patrz ryc. 8—10.

## Opis do N-ru 49.

### N. 1-2. Ząbeczki szydełkowe do bielizny.

### N. 3. Czepeczek ranny. Patrz ryc. 18 w N. 48.

Podstawę czepeczka stanowi pasek sztywnego tiulu, w końcach zwężony, z brzegów oszyty drucikiem i wstążeczką, z przedniego brzegu 36 cent., z tylnego 30 cent długi, w środku 6 cent. szeroki. Z obydwóch boków paska dane są po trzy pukle, z wstążki gazowej w atłasowe pasy, 7 cent. szerokie; górne pukle liczą po 11 cent., dolne po 15 cent. długości. Środek między puklami zajmuje rozeta zmarszczona ze 144 cent. długiego kawałka koronki, 10 cent. szerokiej. Zamiast denka dana jest taż sama koronka, zszyta brzegami do siebie, na 5 cent. od końcy lekko namarszczona i przyczepiona do brzegów podstawy podług ryc. 18. W zagłębieniu między końcami koronki z tyłu dodana kokarda z jednego pukla i końca, na której także przyczepia się koronkę niewidocznemi ściegami.



N. 11. Cygarnica. Deseń zdzierany na safianie. Patrz ryc. 12.



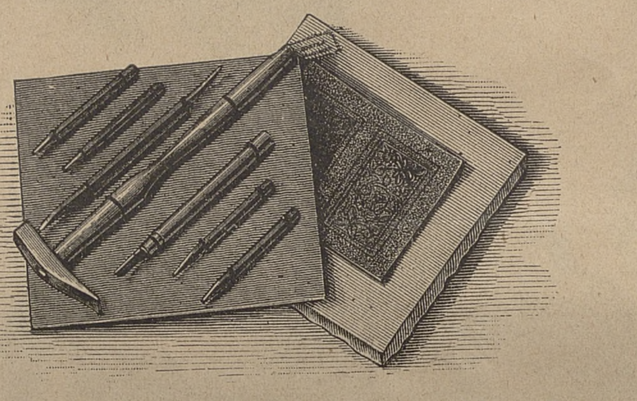
N. 13. Teka wisząca, do pism i dzienników. Patrz ryc. 14.

### N. 4. Berecik aksamitny.

Potrzeba na niego okrągłego kawałka aksamitu czarnego, 48 c. średnicy, podszytego jedwabną materyą, który z przodu i z boków układa się w fałdy, z tyłu zostawia gładko i przyszywa do paska sztywnego muślinu lub petynety, 5 cent. szerokiego, dopasowanego do obwodu głowy, oszytego drutem; od spodu pokrytego materyą, zwierzchu zaś popielatem futrem. Nad czołem dana wysoka kokarda z wstążki atłasowej 9 cent. szerokiej z pod której wysuwają się dwa strusie pióra po 20 cent. długie.



N. 10. Pokrowiec na książkę. Patrz otwarty na ryc. 9, deseń na ryc. 8.



N. 12. Przybory do roboty zdzieranej na skórze. Patrz ryc. 11.

### N. 5 i 23. Kapotka aksamitna.

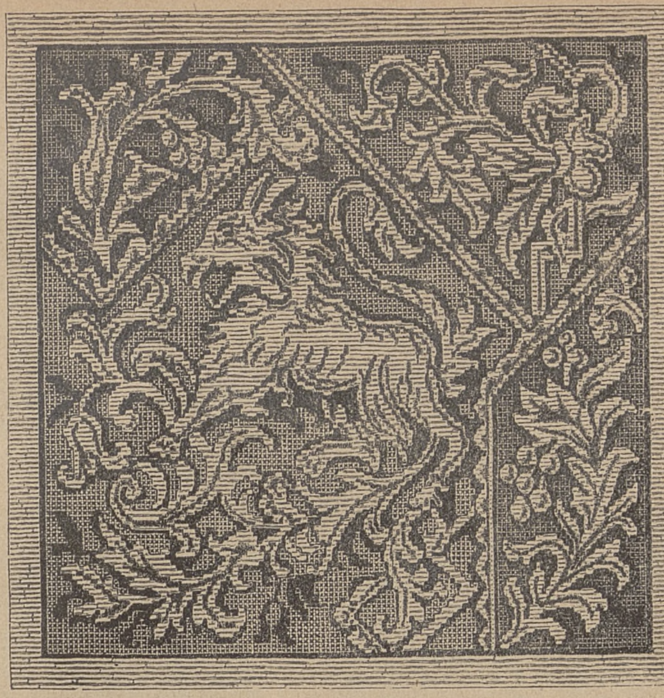
Rondko kapotki zielonej aksamitnej pokryte jest skośnym kawałkiem aksamitu, podług ryc. 5 z boków u dołu złożonym w trzy płaskie fałdy na środku zaś nad czołem w trzy bardzo głębokie fałdy, prosto w górę stojące, złączone z sobą kilkoma ściegami i przepięte kokardą z różowej wstążki ottoman, 9 cent.



N. 14. Haft do teki ryc. 13.



szerokiej. Zielona repsowa wstążka 7 cent. szeroka, stanowi końce do wiązania 88 cent. długie, przyszyte na kapotce podług ryc. 23.



N. 15. Haft na poduszkę do kanapy.

sowym jedwabiem na żółtawem bośniackiem płótnie; ryc. 8 przedstawia, w naturalnej wielkości szlaczek brzeżny i jedną gałązkę zdobiącą tło, które zamiast płótna może być z kanwy de congrès. Sposób wyszycia wskazuje ryc.

N. 16. Okrycie strojne jesienne. Patrz ryc. 17.

N. 18. Okrycie sortie de bal. Patrz ryc. 19.

## N. 8—10. Pokrowiec na książkę. Wyszycie patrz r. 14 w N rze 48.

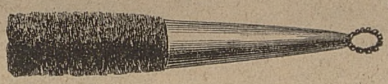
Ryciny 9 i 10 przedstawiają otwarty i zamknięty pokrowiec na książkę, ochraniający od zniszczenia piękną oprawę, którego wielkość zastosowywa się do formatu książki a można również w takim futerale składać pisma peryodyczne. Materyał zwierzchni i podszewkę kraje się w jednym ciągu, zaś wsunięta w środek tektura dochodzi tylko do grzbietu; wzdłuż brzegów przednich dodane są listewki nakształt kieszonek, po 8 cent. szerokie, służące do założenia pokrowca na oprawę. Wyszycie naśladowane było z tureckiej szarfy, haftowanej pon-



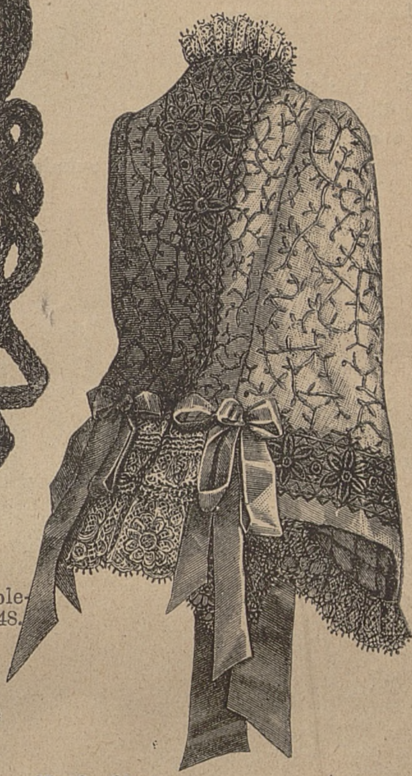
N. 17. Okrycie jesienne. Patrz ryc. 16.



N. 20. Ząb wycianki, do ryc. 1 szyty z ple w N-rze 48.



N. 21. Kwaścik od frendzli ryc. 40—41 w N-rze 48.

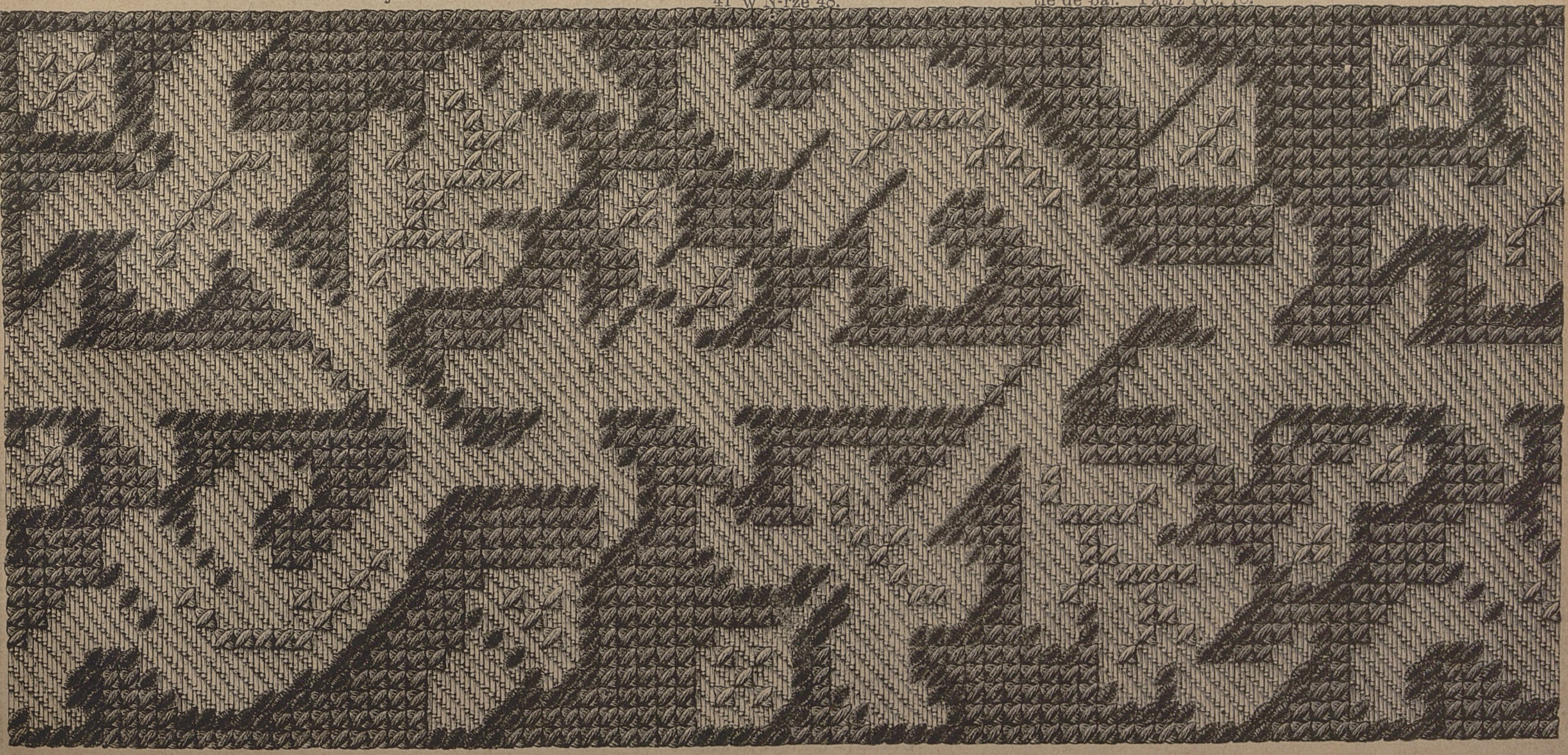


N. 19. Okrycie sortie de bal. Patrz ryc. 18.

14 w N-rze 48. Model przedstawiony na ryc. 10, opatrzony był zakładkami z wstążki jedwabnej, 1 cent. szerokiej, zakończonej złotemi żołędziami a na sznureczku zawieszony jest nóż kościany do przecinania kart. Ażeby futerał nie zsuwał się, przyszyta jest środkiem grzbietu elastyka pod którą podkłada się książkę.

## N. 11—12. Cygarnica. Robota zdzierana na skórze.

Jeszcze w roku 1883 opisywaliśmy w Tygodniku Mód robotę zdzieraną na skórze, dziś dając nowy wzór roboty na ryc. 11, nadmieniamy, iż zagranicą (w Lipsku, Berlinie), dostać można przyborów do tej roboty zebranych razem, deseni na różne przedmioty jak patarafki, oprawę do książki, portemonetki i



N. 22. Szlak wyszywany krzyżykami na złotej materyi. Patrz ryc. 15.

t. p., przy których dodany jest krótki opis.

**N. 13—14.** Teka na pisma peryodyczne.

Składa się z dwóch kawałków grubej tektury, z których przedni liczy 27 cent. szerokości a 36 długości, tylny zaś równie długi, jest w środku 34, w końcach po 29 cent. szeroki. Tylna ścianka pokryta jest oliwkowo zieloną satynką, w górnej zaś części pluszem tegoż koloru; przednia część teki jak to wskazuje ryc. 13 pokryta jest oliwkową flanelką ozdobioną haftem, wykonanym włóczką hamburską podług ryc. 14; kontury deseniu obwiedzione są bajorkiem złotym lub miedzianym. Ramka w około deseniu dana podług ryc. 13 ściegiem łańcuszkowym. Dolny brzeg zakończa ozdobna frendzla; pompony kolorowe.

**N. 15.** Deseń na poduszkę do kanapy. Haft krzyżykowy na złotej materyi.



N. 23. Kapotka aksamitna. Patrz ryc. 5.



N. 25. Suknia z boku zapinana. N. 26. Sukieneczka dla dziecka.



N. 24. Kapotka zdobna pluszem.

Dla braku miejsca nie dajemy deseniu w naturalnej wielkości, zajmował on bowiem 41 cent. w kwadrat; haft wykonany był na złotej materyi włóczką crevel krzyżykami i sznelką półkrzyżykami; dla ułatwienia obliczania podkłada się kanwę. Złota materya nieposzyta krzyżykami tworzy kształt figur deseniu, cieniowanych sznelą i włóczką. Sznela jest o jeden cień ciemniejsza od włóczki. Podszycie poduszki stanowi plusz lub atłas; sznur powinien być złoty ze sznelą.

**N. 16—17.** Okrycie z dłuższemi przodami.

R. 16 przedstawia plecy okrycia strojnego, z kosztownego materyału; stanowi go czarny plusz w jedwabne liście winogronowe z aksamitnemi żyłkami, obwodzone drobnemi ołowianemi perełkami, na podszewkę dany atłas lekko podwatowany, brzegi otacza obłożenie z piór, 7 cent. szerokie. Na ryc. 17 dajemy okrycie aksamitne, obłożone futrem.

**N. 18—19.** Okrycie strojne (sortie de bal).

R. 18 przedstawia okrycie z kaszmiru crême, zdobne szerokim szlakiem haftowanym dwoma cieniami piaskowego jedwabiu i nitką złotą. Drugi model był cały zahaftowany w maszynie kolorowym jedwabiem, ściegiem tamburkowym. Podszewkę do obydwóch okryć stanowi lekko watowany atłas; brzegi otacza koronka hiszpańska 6 cent. szeroka, która przysłania karoczko złożone w kontrafałdy. Kokardy atłasowe.

**N. 22.** Szlak do serwet, portyer i t. p. Ścieg krzyżykowy na złotej brokateli.

Rycina 22 przedstawia w naturalnej wielkości szlak wyszyty krzyżykami i półkrzyżykami, włóczką i sznelą na materyi jedwabnej; ten rodzaj roboty opisaliśmy już przy hafcie na poduszkę do kanapy ryc. 15. Dodamy tylko że szlak ryc. 22 wyszyty był włóczką w dwóch cieniach i sznelą w najciemniejszym odcieniu tego samego koloru. Najjaśniejsza włóczka użyta na żyłki w liściach, ciemniejsza zapełnia tło stosownie do deseniu, cień zaś i ogonki przy liściach wyszyte półkrzyżykami sznelą.

**N. 24** Kapotka zdobna pluszem z piór.

Rondko kapotki zielonej aksamitnej, wygięte w głębokie fałdy, złączone jest z wysoką główką gładko pokrytą aksamitem. Oryginalne przybranie stanowi plusz z piór w dwóch cieniach bronzowych, złożony do siebie i upięty w fałdy podług ryc. 24. Jedna z tych fałd odwinięta jest górnym brzegiem do tyłu i przyczepiona do wierzchu główki a od środka podpięta kitką z piór rajskiego ptaka i dwóch piór złoconych. Końce do wiązania z aksamitki przerabiane środkiem w pasek morowy.

(*D. n.*)



Ubrania na lekcye tańca.

N. 27. Suknia z krótką draperyą dla panienki lat 14—16. N. 28. Suknia ze stanikiem w zakładki. Patrz ryc. 8 w N. 48. N. 29. Suknia ze spódnicą á la paysanne dla panienki lat 12—14. N. 30. Ubranie dla małej dziewczynki.